

U W E M A K P A N

**POWIEDZ,
ŻE JESTEŚ
JEDNĄ
Z NICH**

PRZEKŁAD
JACEK BIELAS
BARBARA ŻAK

WYDAWNICTWO WAM
KRAKÓW 2015

Tytuł oryginału
SAY YOU'RE ONE OF THEM
Copyright © 2008 by Uwem Akpan

© Wydawnictwo WAM, 2015

Opieka redakcyjna: Anna Pasieka-Blycharz
Redakcja: Katarzyna Stokłosa
Korekta: Dariusz Godoś
Projekt okładki wg oryginału: Andrzej Sochacki
Łamanie: Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-277-118-3

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: Read Me • Łódź

Dla moich Rodziców,
Linusa i Margaret,
których miłość tworzy świat wspólnych opowieści

oraz dla Wuja George'a,
który był przy mnie

Jeżeli nasz Bóg, któremu służymy, zechce nas wybawić
z rozpalonego pieca, może nas wyratować z twej ręki, królu!
Jeśli zaś nie, wiedz, królu, że nie będziemy czcić twego boga
ani oddawać pokłonu złotemu posagowi, który wzniosłeś.

(Dn 3, 17-18)

Powiedziano ci, człowiecze, co jest dobre.
I czegoż żąda Pan od ciebie,
jeśli nie czynienia sprawiedliwości,
umiłowania wierności
i pokornego obcowania z Bogiem twoim?

(Mi 6, 8)

Spis treści

<i>Świąteczna uczta</i>	9
<i>Gabon obiecany</i>	45
<i>Co to za język?</i>	195
<i>Luksusowe karawany</i>	211
<i>Pokój moich rodziców</i>	361
<i>Posłowie</i>	397
<i>Podziękowania</i>	399
<i>Nota o autorze</i>	401
<i>Rozmowa z Uwemem Akpanem</i>	403
<i>Pytania i tematy do dyskusji</i>	409

Świąteczna uczta

Kiedy moja najstarsza siostra, Maisha, skończyła dwanaście lat, nikt z nas nie wiedział, jak się do niej odnosić. Nigdy nie wybaczyła naszym rodzicom, że nie byli na tyle bogaci, by posłać ją do szkoły. Zaczęła zachowywać się jak zdziczała kotka, która coraz rzadziej wraca do domu: wpadała tylko po to, by zmienić ubranie i przekazać mi trochę pieniędzy dla rodziców. W domu unikała ich, jak tylko mogła, jakby ich obecność przypominała jej o zbyt wielu rzeczach, których nam brakowało. Owszem, od czasu do czasu warknęła coś w kierunku Papy, ale w ogóle nie odzywała się do Mamy. Mama czasami zaczepiała ją i prowokowała. „Te, *malaya!* Dziwko jedna! Przecież nawet ci jeszcze cycki nie urosły!” – mówiła. Maisha tylko ją ignorowała.

Więcej niż nam wszystkim razem wziętym Maisha zwierzała się Naemie, naszej dziesięcioletniej siostrze. Rozmawiała z nią głównie na temat zalet i wad pracy na ulicy. Pozwalała Naemie przymierzać swoje buty na wysokim obcasie, pokazywała jej, jak robić makijaż, jak się obchodzić ze szczoteczką i pastą do zębów. Mówiła, żeby trzymała się z daleka od każdego faceta, który ją uderzy, nieważne, ile oferuje pieniędzy, i że będzie się do niej odnosić jak do Mamy, jeśli dochowa się zbyt wielu dzieci. Mówiła Naemie, że lepiej już umrzeć z głodu, niż pójść z facetem bez prezerwatywy.

Jednak kiedy była w pracy, ignorowała Naemę, może dlatego, że przypominała jej o domu, a może dlatego, że nie chciała, by Naema zobaczyła, że jej starsza siostra nie jest wcale taka wyluzowana i eleganczka, jaką udaje. Mnie akceptowała bardziej poza domem niż w domu. Mogłem zagadać do niej na chodniku, nieważne, jak byłem ubrany. Ośmioletni chłopiec jej nie przeszkadzał, gdy czekała na klienta. Wiedzieliśmy, w jaki sposób udawać, że się nie znamy – ot, gadają sobie dziecko ulicy i prostytutka.

Ale nasza rodzina *machokosh* i tak miała szczęście. Inaczej niż większość innych rodzin mieszkających na ulicy, my trzymaliśmy się razem – przynajmniej do czasu tego Bożego Narodzenia.

SŁOŃCE JUŻ ZASZŁO i zapadł świąteczny wieczór. Fatalna pogoda wyrzuciła porządek pór roku do góry nogami i Nairobi zalała niewielka powódź, a lekki grudniowy deszcz stukał o nasz brezentowy dach. Siedziałem na podłodze naszej chaty, która ustawiona była na cementowej płycie przy końcu uliczki i wspierała się o tył sklepu z cegły. Sporadyczne podmuchy wiatru nadymały foliowe ściany. Podłoga otoczona była poduszkami, które wygrzebałem ze śmietnika przy ulicy Biashara. Nocami podwijaliśmy brzegi brezentu, aby wpuścić do środka światło lamp, które zamontowano dla ochrony sklepu. Płyta, która służyła za drzwi, oparta była o sklepową ścianę.

Grzmot pioruna obudził Mamę. Podniosła się ospale, zdejmując ręce z walizki Maishy, którą podczas snu obejmowała. Walizka miała kolor granatowy, mosiężne wykończenie i kółka. Zajmowała sporą część naszej powierzchni mieszkalnej. Mamę zaczęła ogarniać panika. Szła po omacku od ściany do ściany, potracając przy tym moje

dwuletnie bliźniacze rodzeństwo, brata Otieno i siostrę Atieno, oraz Papę; cała trójka spała splątana niczym szczeniaki. Mama szukała Małego. Na przedzie jej białego podkoszulka, który dostała trzy miesiące wcześniej, gdy go urodziła, widniały dwie plamki po mleku. W końcu przypomniała sobie, że Mały był z Maishą i Naemą. Uspokoila się i przeciągnęła, ziewając i potracając korkową krokiew. Jeden z kamieni, który przytrzymał nasz dach, spadł na ziemię.

Mama wsunęła ręce pod *shuka*. Poprawiła sobie sznurki zawiązane wokół talii saszetki na pieniądze, która przekrzywiła się jej podczas pijackiego snu. Zaczęła się przekopywać przez nasze kartonowe pudło, wyciągając ubrania, buty i mój nowy szkolny mundur, owinięty w nieprzydatne nam dokumenty, które Papa ukradł ludziom z kieszeni. Mama nie przestawała szperać w pudle, wywalając w końcu jego zawartość na Papę i bliźnięta. Wreszcie odnalazła puszkę kleju do butów New Suntan. Dostaliśmy go w prezencie na Boże Narodzenie od dzieci z rodziny *machokosh*, która mieszkała nieopodal.

Mama uśmiechnęła się na widok kleju i mrugnęła do mnie, wysuwając język przez dziury po zębach. Z wprawą podważyła wieczko puszek i wnętrze naszej chaty wypełniła woń niczym z warsztatu szewskiego. Przyglądałem się, jak przelewa *kabire* do mojej plastikowej „butelki karmicielki”. W bladym świetle klej mienił się ciepłą, żółtą barwą. Chociaż po wczorajszej imprezie Mama sprawiała wrażenie nadal pijanej, ręce miała tak pewne, że duże świąteczne bransolety z choinkowego łańcucha, które dostała na bożonarodzeniowym przyjęciu w kościele, nawet się nie poruszyły. Kiedy przelała wystarczającą ilość kleju, przerwała jego strumień, prostując puszkę. Ostatnia porcja gumy, wpadając do butelki, zaczęła rozciągać się i splatać, aż zastygła

w powietrzu niczym sopel lodu. Mama zaczopowała plastik dłonią, aby klej nie tracił mocy. Wdychanie go miało zabić mój głód, na wypadek gdyby Maisha nie wróciła do domu ze świąteczną wyzerką.

Mama odwróciła się do Papy, szturchając go stopą.

– Wstawajże, całymi dniami nic nie robisz!

Papa odwrócił się i jęknął. Nogi wystawały mu pod foliową ścianą poza chatę. Palce stóp wydostały się z mokrych tenisówek. Mama znowu go szturchnęła, a on zaczął przebierać nogami, jakby we śnie maszerował.

Na zewnątrz zaskomlił nasz pies. Mama pstryknęła palcami i pies wszedł do środka. To była suka w zaawansowanej ciąży, która kołysała się niczym ciężkie pranie na wietrze. Przez półtora miesiąca Mama, mająca prawdziwy talent dostrzegania ciąży u psów, wabiła sukę czułościami i jedzeniem, aż stała się nasza; Mama miała nadzieję, że sprzeda szczeniaki, by uzbierać pieniądze na moje podręczniki. Pies lizał właśnie po twarzy Atieno. Mama wybadła pokrzywionymi palcami brzuch psa niczym urodzona akuszerka.

– No, Simba, poród tuż-tuż – szepnęła psu do ucha. – Jak szkoła mojego syna.

Wypchnęła psa na zewnątrz. Simba położyła się, otulając stopy Papy ciepłem swojego ciała. Od czasu do czasu szczekała, by odpędzić inne psy od naszej przenośnej kuchni, która oparta była o ścianę sklepu.

– Jigana, jak ci tam poszło z Małym wczoraj wieczorem? – Mama zapytała mnie nieoczekiwanie.

– Trochę zarobiłem – uspokoilem ją, podając garść monet i banknotów. Wepchnęła je sobie za *shuka*; zamek saszetki wydał z siebie dwa krótkie pierdnięcia.

Chociaż ludzie w Święta stawali się dla żebraków hojniejsi, naszą prawdziwą przynętę stanowiło niemowlę. Na zmiany podsuwaliśmy je pod nos przechodniom.

– *Aii!* Synek, takich Święt jak w tym roku toś jeszcze nie widział. – Jej twarz rozciągnęła się w uśmiechu. – Na przyszły rok zapłacimy ci chesne. Koniec z kombinowaniem. Koniec z wypalaniem ci mózgu klejem, chłopcze. Wracasz do szkoły! Złało cię z Małym?

– Zmókłem dopiero tutaj – powiedziałem.

– A Mały? Z kim jest teraz?

– Z Naemą – odparłem.

– A Maisha? Gdzie ona się podziewa, zamiast się zajmować dzieckiem?

– Maisha bardzo się gniewa, Mamo.

– Ta dziewczucha zatruwa mi życie. Od trzech miesięcy nawet się ze mną nie przywita. Co za robactwo zżera jej mózg? – Czasami, z powodu dziur między zębami, słowa płynęły z ust Mamy niczym ziewanie. – Odkąd sprzedaje się tym dzianym gościom, myśli, że jest ode mnie lepsza, co? Powiedz no, dlaczego nie chce się zajmować Małym?

– Mówi, że to wykorzystywanie nieletnich.

– Wykorzystywanie nieletnich? Zaczęła pracować dla organizacji pozarządowej? Woli być prostytutką niż żebrac z Małym?

– Ja tam nie wiem. Poszła po prostu z tymi *ma-men* na wakacjach. Dzisiaj to byli prawdziwi biali, *musungu*. Z małpą.

Mama splunęła przez otwór wejściowy.

– *Puu*, z tych to nie ma pożytku. Już ja ich znam. Nigdy nie płacą świątecznych stawek, a jeszcze każą się jej pieprzyć z tą małpą. Jigana,

porozmawiaj no z tą dziewczuchą. Chyba że nie chcesz skończyć szkoły? Niech nie myśli, że wystarczy ci kupić tylko ten mundurek.

Pokiwałem głową. W ciągu ostatnich dwóch dni, nie mogąc się już doczekać szkoły, przymierzałem mundurek z osiem razy. Koszula w zielono-białą kratę i oliwkowe szorty zdążyły się już pognieść. Sięgnąłem teraz do kartonu i pogłaskałem fragment szkolnego stroju, który wystawał ze sterty leżących tam rzeczy.

– Czemu gniewasz takie piękne ubranie? – powiedziała Mama. – Cierpliwości, chłopcze. Szkoła tuż-tuż. – Przekopała się do dna kartonu i ukryła tam paczkę. – Maisha lubi twoją buzię – szepnęła. – Jigana, ja cię proszę, powiedz jej, że potrzebujesz więcej rzeczy – butów, na wpisowe do szkoły, na chesne. Musimy zaoszczędzić cały świąteczny zarobek na twoją edukację, synu. Powiedz jej, żeby przestała kupować sobie te *fuunny fuunny* modne ciuchy, co to śmierdzą białymi truposzami, i zaczęła dawać nam pieniądze.

Mówiąc to, Mama ze złością waliła pięścią w walizkę. Ta walizka to była prawdziwa zawalidroga, ale też jedyny nasz mebel, który miał trwały i określony kształt. Maisha przyniosła ją do domu rok temu i nigdy jej nie otwierała, dopóki nie wyszliśmy z chaty. Nikt z nas nie wiedział, jakie skrywa sekrety, poza snującym się zapachem perfum. Walizka wywoływała w nas dreszczyk emocji i była źródłem pociechy. Uczucia te wzmagały się za każdym razem, kiedy Maisha przychodziła do domu z nowymi rzeczami. Czasami, kiedy nie wracała przez dłuższy czas i zaczynaliśmy się niepokoić, walizka stanowiła rękojmię jej powrotu.

– To *malaya!* Dziwka jedna! Jak nie wróci, to jeszcze dzisiaj w nocy rozwałę to pudło – syknęła Mama, spluwając na szyfrowy zamek i po-

trzęsając walizką, aż z wnętrza dobiegł nas odgłos objijającej się o siebie zawartości. Pod nieobecność Maishy Mama zawsze wyładowywała swój gniew na walizce. Chwyciłem ją za ręce.

– Ty alfonsie! – zawyła. – Trzymasz stronę tej dziwki.

– To nie jej wina. To ci turyści *musungu*.

– Lepiej, żebyś zaczął szkołę, zanim da nogę.

– Muszę jej na ciebie naskarżyć.

– A ja muszę zakopać w tej walizce ciebie i ten twój trajkoczący ozór.

Zaczęliśmy się szamotać. Długie paznokcie Mamy podrapały mi czoło. Zaczęła mi płynąć krew. Jednak Mama nadal potrząsała walizką. Obracając się, naparłem na nią i ugryzłem ją w prawe udo. Nie dałem rady przeciąć skóry, bo straciłem swoje przednie mleczne zęby. Mama puściła walizkę i zatoczyła się na śpiącego Papę i bliźniaków. Atieno wydała z siebie jeden krótki, mroczny krzyk, jakby z koszmaru, a potem znowu zasnęła. Papa stęknął i powiedział, że nie podoba mu się, że jego rodzina bije się ze sobą w Boże Narodzenie.

– Gryziesz mi żonę z powodu tej kurewki? – mruknął. – Rano różga nauczy cię moresu. Będę musiał osobiście poprosić twojego nauczyciela, żeby znalazł na ciebie jakąś dużą różgę.

Ślad po ugryzieniu na udzie Mamy nabrzmiewał. Podciągnęła sukienkę i zaczęła go masować, przeklinając bezgłośnie pod nosem. Potem, by mnie ukarać, wzięła *kabire*, który dla mnie nalała, i przyłożyła wylot butelki do ugryzienia w nadziei, że opary kleju uśmierzą ból.

Kiedy Mama skończyła się opatrywać, oddała mi butelkę. *Kabire* nie stracił jeszcze swojej mocy, dlatego nie wdychałem go bezpośrednio nosem. Objąłem ustami wylot butelki i wolno wciągałem opary,

niczym dym z ogromnego skręta z *bhang*, indyjskich konopi. Najpierw zdało mi się, że brakuje mi w ustach śliny, a potem zdrętwiał mi język. Ciepło miarowo rozpływało się po gardle, łaskocząc w nozdrza, jak podczas przerwane go kichania. Ochłonąłem nieco i wypuściłem z siebie opary kleju. Później znowu przyssałem się do butelki i pociągnąłem. Oczy zaszyły mi łzami, zakręciło mi się w głowie i upuściłem butelkę na ziemię.

Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem, że Mama nałała sobie trochę *kabire* i zaczęła go wachać. Ona i Papa rzadko kiedy ćpali *kabire*. „*Kabire* jest tylko dla dzieci” – nieżyjący już ojciec Papy zwykł strofować ich za każdym razem, gdy zauważył, że mają chętkę na nasz klej. W te Święta nie brakowało nam jakoś szczególnie jedzenia. Poza pieniędzmi, które zarobiliśmy na zebraniu z Małym, Papa zdołał ukraść trochę zapakowanych prezentów na przyjęciu dla rodzin *machokosh*. Zostało ono wydane przez organizację pozarządową, której urzędnicy byli tak skąpi, że serwowali sok pomarańczowy w szklaneczkach jak do mocnego alkoholu. Papa popędził potem na kolejne przyjęcie dobroczynne i wymienił bezużyteczne prezenty – plastikowe sztucce, ramki do obrazków, przyciski do papieru, środki owadobójcze – na trzy miski ryżu oraz flaki z zebry, które ufundował jakiś hotel. Zjedliśmy to na kolację wigilijną.

– Wesołych, wesołych Świąt, *tarling!* – wzniosła po chwili toast Mama, głaszcząc mnie po głowie.

– Tobie też, Mamo.

– No, to gdzie te córki? Nie chce się im odmawiać świątecznej modlitwy? – Mama wciągała nosem zawartość butelki, aż jej oczy zrobiły się nieobecne, a twarz nienaturalnie wykrzywiona. – A te z rządu

zakazały takiej słodyczy. Podziękuj no sąsiadom, chłopcze. Skąd one mają taki towar?

Od czasu do czasu wypuszczała z ust butelkę, cmokając. W miarę upływającej nocy jej twarz zaczęła obrzmiewać. Wydymała wargi i przygryzała je, by sprawdzić, jak są odrętwiałe. Zrobiły się nabrzmiałe i czerwone jak uszminowane usta Maishy.

– Mamo? To co możemy dać sąsiadom na Święta? – zapytałem, pamiętając, że nie kupiliśmy niczego dla naszych przyjaciół.

Moje pytanie otrzeźwiło ją.

– Benzynę... kupimy im pół litra benzyny – powiedziała i czknęła. Jej oddech śmierdzał karbidem i skwaśniałym winem. Kiedy znowu podniosła wzrok, nasze spojrzenia się spotkały. Opuściłem oczy ze wstydem. W naszej kulturze *machokosh* benzyna nie była tak cenna jak klej. Każde szanujące się dziecko ulicy powinno zawsze mieć własny zapas *kabire*.

– OK, synu, w przyszłym roku... zdobędziemy coś lepszego. Nie chcę teraz zadzierać z policją – a więc żadnych nowych pomysłów.

Usłyszeliśmy kroki dwóch pijanych osób idących chwiejnie w kierunku naszego domu. Mama ukryła butelkę. Przybyli zatrzymali się na zewnątrz, oświadczając, że przyszli życzyć nam wesołych Świąt.

– Męża tu nie ma! – skłamała Mama.

Rozpoznałem ich głosy. To był Bwana Marcos Wako z żoną Ceciliją. Już od czterech lat Papa wisił im pieniądze. Przychodzili, jak tylko zwietrzyli u nas jakąś forszę, wówczas Papa musiał się na kilka dni ulotnić. Kiedy na świat przyszedł Mały, zastawiliśmy trzy czwarte jego becików, by pokryć długi. Na tydzień przed Świętami oboje Wako naszli nas, zabierając robocze ubranie Papy za procenty.

Szybko zakryłem walizkę szmatami i sięgnąłem do kieszeni, zaciśniętą palce na zardzewiałym szczytorku, który nosiłem.

Razem z Mamą stanęliśmy w drzwiach. Bwana Wako miał spodnie spięte paskiem wokół głowy; powiewające za nim nogawki, powiązane były w węzły i wypchane mąką *ugali*, którą dostał pewnie na imprezie dla biednych. Cecilia miała na sobie tylko kurtkę i kalosze.

– Aa, Mama Jigana-*ni!* – odezwał się mężczyzna. – Zapomnijmy o pieniądzach. Wesołych Świąt!

– Słyszeliśmy, że Jigana idzie do szkoły – odezwała się kobieta.

– Kto tak powiedział? – odparła podejrzliwie Mama. – Ja tam plotek nie słucham.

Odwrócili się w moją stronę.

– Cieszysz się, że znowu pójdziesz do szkoły, chłopcze?

– Ja tam do żadnej szkoły nie idę – skłamałem, aby ratować pieniądze na moje chesne.

– *Kai*, jaka matka, taki syn! – powiedziała kobieta. – Musisz wiedzieć, że jesteś nadzieją swojej rodziny.

– Słuchajcie, Mama Jigana – odezwał się mężczyzna. – W zeszłym tygodniu była u nas Maisha. To dobra, odpowiedzialna dziewczyna. Błagała nas, żeby nie wracać do tego, co było, żeby Jigana mógł iść do szkoły. To my mówimy – zapomnijmy o pieniądzach i niech to będzie nasz świąteczny prezent dla waszej rodziny.

– Musisz daleko zajść w szkole, Jigana – powiedziała kobieta, wręczając mi nowe pióro i ołówek. – *Mpaka* uniwersytet!

Mama zaczęła się śmiać, wyskakując na zalaną deszczem uliczkę. Uściskała ich i zaprosiła bliżej pod naszą chatę. Ruszyli w kierunku

naszych drzwi, zataczając się i chwając jak para przebierańców na szczudłach w czasie karnawału.

– *Asante sana!* – podziękowałem im. Ściągnąłem skuwkę pióra. Zacząłem nim mazać sobie po całych dłoniach i wdychać cierpki zapach ołówka Hero HB. Mama wcisnęła się pomiędzy przybyszów a naszą chatę, by przypadkiem jej nie rozwalili. Papa szepnął do nas ze środka, w gotowości, aby się wymknąć:

– Aha, to samo mówili mi w zeszłym roku. Poczekajcie, to zobaczycie, jutro znowu przyjdą mnie szukać. Tym razem każcie im to podpisać na papierze.

Mama szybko znalazła jakiś papier, a oni go podpisali, wykorzystując moje plecy jako stół. Potem odeszli, zataczając się, a wypchane nogawki spodni podsłakiwały za nimi.

Mama zaczęła wyśpiewywać hymny pochwalne na cześć Maishy i obiecywać, że już nigdy więcej nie będzie się wyżywać na jej walizce. Niedawno Maisha zabrała bliźnięta do fryzjera, a Małego do Kenyatta National Hospital na badania. Teraz dzięki niej umorzono nam dług. Chciałem wybiec na ulice, żeby jej poszukać. Chciałem ją przytulić i śmiać się, dopóki księżyc nie rozplynie się na niebie. Chciałem kupić jej colę i *chapati*, bo czasami zapominała o jedzeniu. Ale kiedy Mama zobaczyła, jak czeszę sobie włosy, powiedziała, że nikomu nie wolno wychodzić, zanim nie skończymy odmawiać świątecznej modlitwy.

PRZEZ KILKA NOCY wystawałem z Maishą na ulicy i gadaliśmy sobie o fajnych samochodach i pięknych przedmieściach Nairobi. Wyobrażaliśmy sobie, jak by to było odwiedzić Park Narodowy Masai Mara

albo jeść grillowanego strusia czy krokodyla w restauracji Carnivore, tak jak turyści.

– Piękna jesteś! – powiedziałem jej pewnej nocy na ulicy Koinange, kilka miesięcy przed tymi pamiętnymi Świątami.

– E tam, nie jestem. – Zaśmiała się, wygładzając sobie dżinsową minispódniczkę. – Nie kłam.

– To może przejrzyj się w lustrze?

– *Kai*, kto cię tu przysłał?

– I bujasz się jak modelki.

– Ta, ta, ta. Taka niska. A nos? Za krótki, za duży. Nie mam pociągłej twarzy ani pełnych ust. Zero nowych designerskich ciuchów. Nie jestem taka pewna siebie i piękna jak Naema. Perfumy i tusz do rzęs to nie wszystko.

– *Haki*, ty? Piękna z ciebie kobieta – powiedziałem, pstrykając palcami. – Niedługo urośniesz.

– Chcesz mnie poderwać? – zażartowała i przybrała wyzywającą pozę. Zrobiła taką minę jak podczas swoich zabaw z bliźniętami. – Bądź facetem, zachowuj się.

Wzruszyłem ramionami i zaśmiałem się.

– Dziewczyno, nie śmierdź groszem.

– Dam ci zniżkę, gościu.

– Przestań.

– No chodźże – powiedziała i pociągnęła mnie ku sobie, żeby przytulić.

Chichocząc, zaczęliśmy spacerować rozluźnionym od śmiechu krokiem. Wszystko wydawało się nam takie śmieszne. Nie mogliśmy przestać się śmiać z siebie i z ludzi wokół nas. Kiedy zaczęły mnie

już boleć boki i na chwilę spoważniałem, Maisha połaskotała mnie pod pachami.

Śmiałyśmy się z band bezdomnych dzieciaków zbitych w kupę i pograżonych we śnie. Niektórzy z nich spali ułożeni według hierarchii ważności. Inni pokładli się w sposób dowolny. Niektóre grupy miały rozciągnięty nad sobą ogromny brezent chroniący przed zjawiskami atmosferycznymi. Inne nie miały nawet tego. Śmiałyśmy się ze słotczonych w ciasną grupkę taksówkarzy, którzy w trakcie oczekiwania na dalekobieżne autobusy firmy Akamba, przywożące pasażerów z Tanzanii i Ugandy, rozgrzewali się, pijąc *chai* i opowiadając sobie pieprzne polityczne dowcipy. Od czasu do czasu widywaliśmy w starych taksówkach zaniepokojone twarze przybyszów, którzy gotowali się na najbardziej niebezpieczne dwadzieścia minut swojej dwunastogodzinnej podróży, pełni obaw, że zostaną obrabowani za każdym razem, gdy taksówka zwalniała.

My nie baliśmy się miasta nocą. Było naszym placem zabaw. W takich chwilach wydawało się, że Maisha zapomniała o swojej pracy i chciała tylko śmiać się i wygłupiać.

– Te? Przystojniak – odezwała się.

– Akurat.

Pociągnąłem ją za torebkę.

– Niedługo będzie z ciebie chłop na schwał...

Nagle wyprzedziła mnie i zamachała w kierunku podjeżdżającego volvo. Szofer zatrzymał samochód, opuszczając szybę. Mężczyzna na tylnym siedzeniu zlustrował ją wzrokiem i pokręcił łusą głową. Z gromadki dziewczyn tłoczących się za plecami Maishy i usiłujących wetknąć głowę w okno samochodu wybrał od niej wyższą. Maisha

pobiegła w kierunku furgonetki Mercedes-Benz, ale jej kierowca wybrał niższą dziewczynę.

– Kiedyś muszę sobie znaleźć jakąś prawdziwą pracę – powiedziała Maisha, wzdychając po powrocie.

– Dziewczyno, jaką pracę?

– Chciałabym spróbować na pełny etat.

– *Wapi?*

Wzruszyła ramionami.

– Mombasa? Dar?

Pokręciłem głową.

– Przykro to słyszeć, dziewczyno. Na jak długo?

– Nie wiem. *Ni maisha yangu*, facet, to moje życie. Myślę sobie, że pełny etat pozwoli mi opłacić ci chesne, a jednocześnie zaoszczędzić coś dla siebie. Prześlę ci pieniądze przez Kościół. Odejdę z burdelu, jak trochę zaoszczędzę. Nie chcę wystawać przy drodze przez całe życie. Pewnego dnia ja też muszę iść do szkoły...

Słowa uwięzły jej w gardle. Zaciśnęła usta, skrzyżowała sobie ręce na piersiach i zaczęła się kiwać na boki. Nie pobiegła już więcej do żadnego samochodu.

– Już cię nie zobaczymy? – odezwałem się. – Nie, dzięki. Jak masz iść do burdelu, to ja nie chcę iść do szkoły.

– To ja zatrzymam pieniądze dla siebie, cha, cha. Bez ciebie w tym domu nie dostaną ode mnie ani grosza. Nigdy. – Zobaczyła wyraz mojej twarzy, przerwała nagle, a potem zaczęła chichotać. – Żartowałam, facet, z tym burdelem. Tylko się z ciebie nabijałam, OK?

Połąskotała mnie, pociągając w kierunku Moi Avenue. Mocno trzymałem ją za rękę. prostytutki gestykułowały żywo pod latarniami, ubrane jak skrzydlate termity.

– Maisha, nasi rodzice...

Odwróciła się gwałtownie, zaciskając dłonie w pięści.

– Zamknij się! Wstyd mi tylko przynosisz, szcurze. Zostaw mnie w spokoju. Nie jestem twoja. Nie stać cię na mnie!

Inne dziewczyny odwróciły się i przyglądały się nam, chichocząc. Maisha odeszła zamaszystym krokiem. Zrobiłem błąd, wspominając naszych rodziców w obecności innych dziewczyn. W ten sposób dowiedziały się, że jesteśmy spokrewnieni. Nie powinienem był też zwracać się do niej po imieniu. Płakałem przez całą drogę do domu, bo sprawiłem jej ból. Później tygodniami mnie ignorowała.